

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ŁÓDŹ, 25. V. 1973 R.

WYDANIE SPECJALNE

Serdecznie witamy!

Łódzkie środowisko literackie wita serdecznie i gorąco wszystkich uczestników tegorocznego Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. Radzi jesteśmy naszym gościom, ufamy, że spotka nas w czasie dwu dni obrad dobra przygoda z poezją. Szczególnie na dobrej przygodzie zależy nam tym razem szczególnie. Spotykamy się już ósmy raz, można więc mówić o pewnej tradycji łódzkiego Festiwalu, spotykamy się — niebagatelny to moment — w roku jubileuszowym miasta gospodarza. Właśnie bieżącego roku obchodzi Łódź 550-tą rocznicę swoich narodzin i 150-tą rocznicę przekształcenia się w czołowy ośrodek przemysłowy naszego kraju.

Przez wiele dziesiątków lat kojarzono Łódź z pracą i walką polityczną. To prawda, z której jesteśmy dumni, w olbrzymim tyglu łódzkiej dojrzał bunt przeciw złu, a fale politycznego protestu sięgały koronowanych głów Europy. Lecz i to jest prawdą, że Łódź robotnicza nie mogła odegrać większej roli, jako ośrodek kulturowy, choć nie brak było świetnych inicjatyw i znanych twórców. Miasto bez Uniwersytetu, uczelni humanistycznych i technicznych, zawsze będzie pozbawione podglebia, z którego wyrastają nieprzemijające wartości duchowe.

Od kilku ostatnich dziesiątków lat, dokładniej od piętnastego roku 1945, kojarzymy Łódź z pracą z Łodzią kultury i nauki, miasto zyskuje na znaczeniu jako istotny dla rozwoju socjalistycznej kultury ośrodek. Ma w tym procesie wzrostu znaczenia swój udział i łódzkie środowisko literackie, które jest już dzisiaj poważnym komponentem życia kulturalnego miasta.

Dzieje pisarza to w pierwszej instancji dzieje jego książek ale także i społecznych inicjatyw wiążących w całość twórcę i odbiorcę. Chcielibyśmy bardzo i nasz doroczny Ogólnopolski Festiwal Poezji widzieć, jako taką właśnie inicjatywę wychodzącą naprzeciw czytelnikom polskiego wiersza, chcielibyśmy pozyskiwać nowych czytelników. Jest to idea nadrzędna Festiwalu, współbrzmiejąca z refleksją krytyczną nad stanem naszej poezji, z miłą czynnością nagradzania najlepszych w poezji osiągnięć.

Festiwal utrzymuje od lat ogólnopolski charakter, gościmy czołowych poetów i krytyków z całego kraju. I nie jest to w naszym mniemaniu sprawa snobistycznych ambicji. Budujemy drugą Polskę, więc i drugą Łódź trzeba zbudować. Nasi goście z pewnością dostrzegą bez trudu olbrzymi wysiłek inwestycyjny, dotrą, być może, podczas spotkań autorskich do wielu nowych dzielnic i zakładów pracy, spotkają z pewnością wielu miłośników literatury, a osobliwie — poezji. I to jest właśnie początek owej drugiej Łodzi, miasta pracy i piękna, ale tego piękna, które — jak mówił Norwid — do pracy zachwyca. Utrzymanie i rozwijanie owego związku pomiędzy pracą i literaturą to nasze wspólne zadanie, naszych gości również.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI
Prezes Łódzkiego Oddziału ZLP

ROMAN ŁOBODA

ŻYWIŁY

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
woda ogień powietrze i słowo

Mój brat ma przezroczyste oko
widzę na dnie roztrzaskane drzewo

Mówię mu bracie
coś ci wadzi korona
zabierasz mi
co dzień co liść co światło
które kochasz wiem chociaż
cierpisz z powodu kalectwa

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
noc strach poczęcie nieśmiałości

Mój brat ma pękniętą skórę
słyszę jak w piach wycieka bezustannie źródło

Mówię mu bracie
coś wadzi ci prawda
ześść się możemy
niekoniecznie pod ziemią
co rusz co gest codziennie
wysychasz w sobie jak byś
nie znalazł formy dla swego pragnienia

Rzekł więc
ograniczają nas żywioły
przestrzeń czas głębia i ciało

Mój brat ma serce pełne samotności
płyne krew jego w zamkniętym układzie

Mówię mu bracie
więc spróbuj żyć za mnie
ja za ciebie w żrenicy oka
jako twój język i ból
i niekosmate twe ucho
jakby jeden w nas głód
i jedna forma naszego pragnienia

Rzekł więc
połączą nas żywioły
woda ogień powietrze i słowo

Z tomu „Rzeźbienie horyzontu” WL, 1972

KONRAD FREJDLIH

SEZON JAKICH WIELE

M iniony sezon poetycki potwierdza raz jeszcze opinię o dużej aktywności łódzkiego środowiska literackiego czego dowodem dzieło wydanych w ostatnim okresie tomów wierszy reprezentujących różnorodność stylistyczną i ideową, odrębność generacyjną, odmienność rodowodów.

Ale mimo szerokiej panoramy nazwisk i poetów uderza w tych książkach pewna monotonia, którą można określić jako liryczną stabilizację. Daje się przeczuć zauważyć (choć do pełniejszego obrazu brakuje nowych publikacji. Wawrzyniowa, Waleńczyk, Wawrzak, Kucnera, Kosińskiego czy Wilmańskiego) jakiś niepokojący zanik pasji poszukiwaw-

czej. Mamy bowiem do czynienia raczej z kodyfikacją doświadczeń wspólnych całej współczesnej poezji polskiej niż tropieniem własnych ścieżek, choćby najwęższych. Co prawda tego typu postawa wpływa na doskonałość osiągnięć warsztatowych, lecz w małym stopniu sprzyja nowym propozycjom choćby tylko formalnym. Nawet najmłodszy, o których oczekuje się zwykłe jakiejś odrębnej nutki (choćby nawet brzmiała ona naiwnie czy wręcz fałszywie) wybiera najchętniej z pozoru niebezpieczną i najmniej ambitną drogę stylizacji uchylając się tym samym od poszukiwania własnej perspektywy artysty-

cznej. Można powiedzieć o swoistym kryzysie nie tyle sztuki wierszopiskarskiej, co postaw ideowych, bo wśród książek minionego sezonu nie brak przecież rzetelnych poetyckich dokonań.

Zwraca zwłaszcza na siebie uwagę wydany pośmiertnie nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej tom Stanisława Czernika „Zadymka”, w którym znalazły się utwory pochodzące z ostatnich lat życia poety uzupełnione pieczołowicie przez syna, Mieczysława Czernika, kartkami nieopublikowanych dotąd rękopisów z

archiwum domowego. Tak rozszerzone wiersze ostatnio nie stanowią cyklu w pełni konsekwentnego, jednorodnego, o wyraźnie narysowanej architekturze całości, ale są, kto wie, czy przez to nie pełniejszym wykładnikiem niepokojów trapiących Czernika po ostatnich dni i dalszym rozbudowywaniu jego genealogicznego mitu, który już przed laty nadał tej poezji własne imię.

Dalszy ciąg na str. 4

OPORÓW

Oporów — dziś mała podkutnowska miejscowość, jest znana nie tylko na ziemi łódzkiej, jako siedziba ciekawego muzeum. Zgromadzone tam wyroby meblarstwa, ceramiki, tkanictwa oraz snycerstwa, dokumentują rozwój kultury materialnej szlachty. Nie jest to wielkie muzeum i ani ilość eksponatów, ani ich względna unikalność nie może mu takiej rangi nadać. Ale w regionalnym kaleidoskopie obiektów muzealnych, zajmuje ono swoją własną, specjalną pozycję.

Ta specjalność polega i na tym, że muzeum mieści się w świetnie zachowanym średniowiecznym gotyckim dworze obronnym a właściwie małym zamku rycerskim. Zameczek ten, wzniesiony w pierwszej połowie XV wieku przez Władysława Oporowskiego — ówczesnego arcybiskupa gnieźnieńskiego, został przemyślnie umieszczony na sztucznej wyspie, bo fosa w tamtych czasach, to bezpieczeństwo i spokój.

Mimo wielokrotnych przebudowań i uzupełnień, dokonanych zwłaszcza w ubiegłym wieku, w zameczku zachowała się większość starych gotyckich elementów architektonicznych oraz

wystroju. Szczególnie zwraca uwagę bogato zdobiony portal gotycki prowadzący do dawnej kaplicy w baszcie. W portalu tym istotnym elementem są herby rodowe rodziny Oporowskich. Podobnie w samej kaplicy na zworniku widoczny jest herb Sulima. Na parterze można podziwiać czystą architekturę komnat zamkowych, szczególnie w dawnej sypialni, gdzie dochowało się piękne sklepienie gwiazdaste typowe dla gotyku. Na pierwszym piętrze zwracają uwagę modrzewiowe stropy polichromowane w XVII wieku. Polichromia ta oraz piękny portal, zostały odkryte podczas prac konserwatorskich prowadzonych w latach 1962—1965, ponieważ były one zabudowane i zatynkowane według potrzeb późniejszych właścicieli zameczku, którzy w XIX wieku starali się nadać gotyckiej budowli modny kształt romantyczny.

Bruk, który pokrywa wewnętrzny dziedziniec zamku, to oryginalny bruk starożytny gotyckiego dworzyszcza, na którym mogliby się potykać średniowieczni rycerze.

Zameczek, składający się z części mieszkalnej, wieży oraz baszty-kaplicy i obudowany znacznie później do-

budowa mieszkalno-gospodarcza, został podczas ostatniej konserwacji, dobudówki tej pozbawiony, aby mógł lepiej prezentować swój surowy, ale klasyczny porządek gotycki, właściwy dla fortalicji rycerskiej średniowiecznej Europy.

Zameczek oraz park krajobrazowy, to nie jedyne zabudki Oporowa. W pobliżu znajduje się kościół gotycki Świętego Marcina oraz budynki klasztoru Paulinów. Są to również fundacje arcybiskupa Oporowskiego i zostały wzniesione około 1450 roku. Przebudowywane wielokrotnie w okresie XVII — XX wieków, nie zachowały swego pierwotnego czystego stylu. Wieża kościelna posiada surowy gotycki kształt, chociaż zwiększa ją już znacznie późniejszy barokowy hełm.

Oporów stanowi więc ciekawy przykład rzadko już w kraju zachowanej poza skupiskami miejskimi architektury gotyckiej, której na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej było niegdyś niemało.

GUSTAW
ROMANOWSKI

(Na Zamku w Oporowie odbędzie się końcowe spotkanie uczestników VIII Festiwalu Poezji.)



ZAMEK W OPOROWIE

Rys. W. Kondek



DOROTA
CHROŚCIELEWSKA



Mój Boże znowu ciemno
Wice wypijmy falerno
Lampa w tawernie trzęsła
to Panie Boże zaplać
Mój Boże choć nie ciemno
to wypijmy falerno
Ty za mą śmierć niewczesną
Ja za twą nieśmiertelność
Ażebys sadzał wiecznie
na szpilkach anioły zbyteczne
Ażebym lat jeszcze parę
diabłu paliła ogarek
Teraz w księżycu łódce
spłynęły z tawerny tej smutnej
I zaraz mi laurowiej
Znowu podniosłam głowę
W tej wczesnej Boże godzinie
pamiętaj ku śmierci nie płynę
Bo kiedy będzie nam ciemno
znów wypijmy falerno



MIECZYSLAW
KUCNER

Miasto i wieś

Słońce jak kruk, wysoko
Przycichła zielen pod ciemnymi światłami.
Nie ma nas wśród żywych.
Wiedząc gdzie jesteśmy? Fale stawu czernieją od wiatru,
niedziela w sierpniu; pył spod bosych nóg.
Pozostały atomy zwycięskie.
Tymczasem nie wie o tym,
wierniejszy po latach dla echa,
przysięgający rodzinie światu —
jakby obecność miu mogła, leczyć.

Czarne, lipiec 1971



MIECZYSLAW
MICHAŁ SZARGAN



W Warszawie zabrakło ruin
Zabrakło ognia
Bruk z granitu
Podniósł
Fortepian Szopena
Na Kolumnie usiadł
Wędrownie żurawie —
Lunę z szyb
W poezji Baczyńskiego
Na straży stoją

JERZY WALEŃCZYK

Doświadczenie

Dziewczyna z młodszym od nas odejdzie,
Wiosny potoczą bez nas swe rzeki.
Reguły sztuki późno odkryte
Wymierzą karę nam, już dalekim.
Pamięć rozłąki i powitania,
Choć precyzyjna i cała w blasku,
Na nie się nie zda, a błędy trwania
Zamkną nas w śpiwnym, zbędnym potrzasku,
Ciężko tak jeździć taksówką w nocy,
Wymierzać ból swój sprawnym leżnikiem,
Skulony w kącie na próżno wołasz,
Szofer nie słyszy twojego krzyku.
I tak za późno na wyjaśnienia,
Taksówka tamie nabrzmiałe cienie,
Wady, zalety, jakże wymienne.
Mierz, mój leżniku nienasycony,
Ślepych uniesień trasy młodości.
Miga za szybą czyjś głos chichot,
Nie uciekniemy. Za nami pościg.



ANTONI
KASPROWICZ

Nad wierszem

I zaczął opowiadać,
a tak sugestywnie,
że się zaczęły działy dziwy
przedziwne.
Aż wreszcie w blasku
słonecznych promieni
dotknięciem dźwięku
mnie, Abba przemienił:
w trujące ziarno piasku,
w jaszczurkę płaską,
w nikłe żdźbło trawy,
w uschnięty bąbel rdzawy,
w różę palającą,
i oślepiętego plaka...
A kiedy człowieczą przywrócił mi postać — zapłakał.



MIROSLAW
OCHOCKI

Pamięć

Nawet łagodne cienie, które kładą
dłonie me na tę dolinę pogody
zamknęły słońcem, jak dzban chłodnej wody,
gdy go się w górę wznosi, w biele sadów —

Nawet te cienie nie dają zapomnieć
o nocy, która za mymi plecami
ogromna stoi. Słyszę jak o kamień
uderza głuchy krok na zatopionych
schodach — jak ślapa, jak ciężko odrywa
stopy swe pamięć moja, kiedy do mnie
wraca z ciemności — o mą skroń ociera
chwilejny żar świecy i z oczu wyrwa
blask róż — a z dłoni wzniesionej
laskę Prospera.



MAREK
WAWRZKIEWICZ

Znad twojej twarzy

Znad twojej twarzy. Znad twego oddechu
Szybkiego jak mały strumień, znad chwili,
która się wtedy liczy, kiedy jest niebytem.
Znad światła pochmurnego.

Znad całego świata.

Jeśli go mogę objąć obiema rękami.

Pozwól — niech to w nas rośnie. Jak wiatr
Ogarniający wszystko: plaki wieczorne,
Drzewa, aż po ostatni listek, i ludzi i rzeczy.
Aż po piasek na wyspach samotnych, dalekich.

Pozwól — niech to w nas rośnie. Jak sen,
Jak ogromne morze snu, w którym się topimy
Zanim nas obudzi szary gołąb świtu,
Zanim nam nie rzucą
Pasów ratunkowych — słów o codzienności.

Pozwól — niech to powraca. Z tamtych lat grudniowych.
Razem z tym śniegiem na włosach i jodłach,
Wraz z bezbronnym uśmiechem,
Wraz z zatoką ramion,
Razem z tym bólem, który był nam wspólny,
Jak pulsowanie krwi, albo jak nadzieja.

Niech się stanie do końca,
Zostanie na zawsze,
Na mgnienie naszego życia.
Na uderzenie serca. Na nagłą śmierć tkanek.
Na pamięć. Na niepamięć. Nie przeszkadzaj temu.

Nie pozwól, by ktoś nas ocalał od siebie.



IGOR SIKIRYCKI

Konie

Zrodzone po to, by ścigać wiatr,
muskając podbrzuszem pióra soczystych traw,
plawiąc się w przychylonych nurtach,
zanurzać grzywy w mleku księżycy,
Konie —
o szybach wygiętych w znak zapytania,
schwyte na arkanach
wymarły doszczętnie.
Zostały tylko ich cienie,
by ożywić mitologię
i służyć bogom udającym ludzi.
Cienie —
wyraźniejsze od rysunków na skałach Gobestanu,
trójwymiarowe i pełnokrwiste.
To one rozmnożyły się w stajniach Augiasza,
dały się zaprząć w rydwan
i popędzane biec
codziennie rozwożąc słońce Kolchidy.
To one posłuszne Lizypowi zastygły w brzoze,
one rżną na fryzach Partenonu
i w cyrkach tańczą walcę.
Konie —
rące rumaki,
rysaki Rusi w dzwonkach sanny,
bulane bachmaty Buchary,
kudłate perszerony pachnące browarem,
szkapy wlokące ciężar całego świata,
fotele jeźdźców apokalipsy,
rachityczne sługi Don Kichotów.
Konie —
targane żelazem wędzideł,
klute ostrogami w serce,
plonące na grobach wojowników,
obracające kierat wieków,
podkuwane ognistą podkową
i oślepiane w kopalniach.
Konie —
skaczące z wdziękiem w nurty Elster
Konie —
cuchnące ścierwo pobojożółci
Konie —
skazane na dożywotni obóz pracy
patrzą ufnie w oczy człowieka,
żując codzienny owies pokory.



JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI



gdy dłoń moją ostatnią w uścisku uniosłaś
i zapadła ci w górę już stromizna światła
ułożony w wieczorze jak złamana kładka
dawałem się unosić w tę noc ponad którą
narosta we mnie z ciemności powata
z tamtej strony jesieni pozostałaś dla mnie
kształt wydobyl się z zachwyty nad kształtem
choć ciągle nie poczęła i wciąż nieskończona
a nawisła jak wyrok ponad obcym światem
że silniejsza nawet niż zamysł zamlaru
teraz jest cisza szara i powszechna
odciśnięta trwale w chaosie jak w węglu
przed brzaskiem w którym słowo me zalegnie
jak wzywająca świąty złota słońca trąbka

JAN CZARNY



Wykład ontologii

grudniowy oddech związany z sadzą
z cementowej fletki pogańskiego Pana
greckie i rzymskie porządki opadają z gzymsów
czas i śnieg klebią się nad czołami kariatyd
nylonowy las wkracza na secesyjny balkon
w nim turon z filcowym jeźdźcą czeka na mięso
obudzony hukiem zając skoczył w las żelazny
wyrwany ze snu zając skoczył na balkon śmierci
w mitosny uścisk żelaznej narzeczonej
zawinięci w gazetę skrząca tytułami
wiszące głowami w dół jak kosmonauci
czekamy ażby skruszeć na mrozie
aby nas podano na świąteczny stół



JAN HUSZCZA

Ustna harmonijka

Mieści się w byle kieszeni

Cienkie języczki,
oprawione w drzewo i blachę,
gdy się dmucha
— przemawiają do ciszy,
nadając jej żartobliwe znaczenie

Nim przed wargami nie zaśni
harmonijka,
pełna muzycznych kropel
— sterczymy w upale jak wśród pokrzyw

Gdy przez jesienne godziny,
skrzydłem wrany rozbełtałem,
zaczęła sycić się
dźwięki harmonijki,
to jakby spóźnioną różę ktoś wywołał

Harmonijki opowiadają marzenia swoich właścicieli
Harmonijki rdzewiejące,
zapomniane w miasteczkach wśród wielu innych
drobiazgów
umieją także i płakać

Którzy nie mają żadnej harmonijki,
chodzą nierozbudzeni

25—26. VI. 1961

MACIEJ JÓZEF
KONONOWICZ

Na śmierć stryja Antosia

otoczyli
spędzili wieś na majdan piaszczysty
przy mostku nad Lukonicą

psy
czując zapach wleczurów
rwały łańcuchy
w pustych obejściach

spod helmu padło
twoje nazwisko i imię
zdeformowane germańskim charkotem
i strzał
nad śnieżne twe zęby w uśmiechu
potem —
gdys nakrył swój cień
gdys na piasku —
jeszcze dwa strzały

z dąbrowy nad Szczarą dobiegło
trzykrotne wezwanie kukulki
a może to było echo
echo
echo
potem warkot motorów
w pospiesznym odjeździe
i krzyk czajki
co cieniem skrzydeł
zamknęła ci oczy

i stał skamieniały tłum
bośnogi las
kapiący żywicią
z gniazdami czapek w liściach dęst
nasłuchujący partyzanckiej pieśni

już nie będziemy razem
łowić ryb na kłomle
stryja Antosia

JERZY
JAROMOWSKI

Z sonetów biesiadnych

o tym jak Jaromł przemysliwał
po kiego wiewióra mu sonet

po co mi sonet — ot jego wytworność
skoro coś nosić to nosić to z wdziękiem
jeśli ułomność — to w sonet upięta
jeśli zaś sonet — to w człeczku ułomność

w poezję wnoszę archaizmem dźwiękiem
swoją szlachetność i swoją nieskromność
panowie, martwi mnie nasza połomność
piszę zaś sonet — to wiewiórem-trypelkiem

niech ma ode mnie jeden na swej drodze
waści się krzywią że ja waści zwodzę
a czegoż ludy szukały we świecie

szukały ladu choćby garbatego
formy kunsztownej i czegoś bliskiego
— ot klawesynu w publicznym szalecie

MIROSŁAW
KUŹNIAK

List z cieniem

odkąd zacząłem się karmić witaminami i poezją,
mój cień powiększył się dwukrotnie. Wkrótce
przybrał tak niepokojące rozmiary, że zacząłem się
go bać. Zauważyłem, że nawet w jasne słoneczne
dni rozglądam się trwożliwie, czując za plecami
swojego prześladowcę. Zaczęły także trapić mnie
niewytłumaczalne wyrzuty sumienia i narastał
we mnie konflikt moralny. Obawiam się, że
któreś nocy zaczaję się na niego w pustym pokoju
z grubym łonem, np. antologią opowiadań współczesnych.
Nadmieniam, że podejmowałem próby odzwyczajania się
od witamin. Bez oczekiwanego skutku.



JERZY WILMAŃSKI

Umrzeć w podróży

Pragniesz umrzeć w podróży
gdy cię już świergot ptasi ostatecznie znuży

Zostawiłeś w mieście czupurne głupie wróble
ogarki na kapłezkach z papierowej masy
Mea culpa w pierś cudzą
order na pierś własną
kukulki bez skrupułów, pliszki i jastrzębie
Inwentarz z dobrodziejstwem zlej ornitologii

Pragniesz umrzeć w podróży
gdy cię już świergot ptasi ostatecznie znuży

Byłe dalej od tamtej gospodarskiej troski
o trzosa własny, pierś swoją, okrucieństwo pańskiej łaski
Byłe dalej od tamtej elokwencji papug
horyzontów kreślonych zza przymkniętych powiek

Stopami dotykasz dudniącej podłogi
okno na pożegnanie znaczysz chustką białą

Pragniesz umrzeć w podróży

I powracasz cało

TADEUSZ
CHROŚCIELEWSKI

Drzewo czarnolesskie

Uczony przechodniu,
abyś nie pominął
bez pozdrowienia
kości...

Z EPITAFIUM W ZWOLENIU

Przechodniu, coś z daleka z racji uczoności
Przybył, aby żałować mych drewnianych kości,
Mnie tu nie ma, ja teraz zamieszkuje z panem
Korale wysp szczęśliwych. Za fraszkę miej lamen,.
Gdy Charon nie odwozi na sosnowych statkach.
Tam pan mój lipecz spija, a ja rodzę jabłka...
Bo pan, przedni gospodarz, zanim zaszedł cieniem,
Zaszczerpił na mnie jabłoni sprzeczenie z przyrodozem.
Mój owoc cieszy ziemian wdzięcznymi przymioty
I od gwiazd kanikułskich ostrzej świeci złotych,
Słodszy od grusz na wierzbie i fruktów Hesperyd.
W spiekę krwią się rumienią i pierzem Chimery.
A te jabłka są moce anielskowężowej:
Kto ukąsi owoc galezi lipowej,
Takie słowo posiedzie, że będzie mógł śmiało
Świat nim stwarzać z chaosu bądź ze świata chaos.



JERZY WAWRZAK



Wszyscy są dobrzy i niewinni
wsluchaj się w podsens ich spowiedzi
dobrzy sąsiedzi, pracownicy
znawcy muzyki, wina, kobiet

My — jakby z brzegu, uśmiech mnisi
zawiści tyle co na gramy
przekornie cisi i spokojni
w tej grze do suchej nitki zgrani

Spadamy z nimi też poziomo
(a jest ich tylu, Boże drogi)
i tylko jedno ważne słowo
krąży jak jastrząb ponad nami
niemych prowadzi do przystani

gdzie wreszcie wolni, ale sami.

KONRAD
FREJDLACH

w poświacie krwi miesięcznej mylą się wszystkie zapachy
oprócz pożądliwości
o nasyconej barwie włosów piersi brzucha
i nocy
która wszystko zrównoważy

młodość pośpieszna
opóźniająca się jak pociąg
przetrzymany na torach przez wykołowanego
zawłodowcę

i jeszcze hotel tylko
drapieżny przedweześnie
po grzbiecie zapadły w mule ciemnych westchnień
odrętwiały z czekania na zdobycz i tarło
w poświacie niklowanej galki łóżka
które zdaje się mówić że młodość
jest imperatywem o nieobliczalnych konsekwencjach

JANUSZ
SKOSZKIEWICZ

Nasiona świata

Kiedy dłonie zanurzam w twe włosy
czas nie przecieka między palcami

pęknięte niebo odgina się u horyzontów
rozchyła jak płatk kwiatu

w jego wnętrzu na samym dnie
my
gorzkie nasiona świata



ZIEMOWIT
SKIBIŃSKI

Na brzegu wysokim stałem...

1.

W południe białe jak msza,
wzniosłe jak msza z asystą,
na brzegu rzeki wysokim stałem.

Uparcie ryby do źródeł zdążające
pletwami wodę odwracają na słońce.
Zarłoczny skwir rybitw rozbielałych
upał rozżarzał,
przerażał...

Tak w samo południe
pośród czterech żywiołów,
w podniesieniu mszy z asystą,
bez znaków na niebie,
a jakby Apokalipsa

2.

Niech płyną — pomyślałem —
jedna czy tysiące
nie odwrócą biegu.

Bezmyślne niby
miały jeszcze wybór:
pod prąd albo z prądem.
Mogło być gorzej,
gdyby bez niego się ostały.
Lecz kim byłem ja,
bezsilny, bo obey,
brakiem znaczenia oniemiały,
który nie zagrożony,
który nie w nurcie rzeki
i poza wyboru prawem,
ja, co na brzegu rzeki wysokim stałem?

VI, 1972



HENRYK
HARTENBERG

Mitologia snów

Na wzgórzach plonie jeszcze krzak
Jak w dzieciństwie —

Przez mury surowego wieku przeniosłem szeptaki
spalonej kołyski
I kształt kamiennego odciechu ukrytego w pamięci
świata —

Wspinałem się stromą linią ziemskich niepokojów
Idąc przez białą ciszę — aż po krawędź Twojego
spojrzenia

Polykałem się o czarne mrówki spieszące w zieloną
dolinę
Po żdźbło trawy napęczniałe oceanem wilgoci

I kość człowieka który nigdy nie doszedł
Chociaż ziarnem piasku rysował drogę wyniesioną ponad
czas —

Z mojej krwi czerwonej zrodził się Wielki sen
o nieskończoności
Określający barwę i ład i kulistość naszych ciał

W których krąży zatruta ława odwiecznego słońca
I okrucieństwa doskonałości — zapomniane na dnie żrenicy —

Już kureczą się lata i gęsty cień kładzie się na drogi —
Otwieram księgi — z poszarzałych stron wykwita łęcza
Zawieszona nad ziemią — okrąży kurzem —

Pozostaje stroma linia rzuciona w sam środek snów
Wspinam się po niej i wciąż jestem w dolinie —

A tam — na wzgórzach — plonie krzak
Jak w dzieciństwie —



WASYŁ KOCZNOW

Ziemia innej mowy

Tu niebo jak podniebienie jest dotykane
i słońce toczy się w dłoń —
jabłko dla mnie na pokusę
a rzeszy kobiet jak wałki
wzlatują na spotkanie moich kroków
przestrzeni się przejrzyste inna mowa
idę w jej bezkres
w wołanie samogłosek wśród szemrzącej trzcin,
dzień już łamie promień
wiem że nie wystarczy
tylko nieść w nią dwie pochodnie twarzy
Ziemia innej mowy z moim snem się spleta
tu zegary sprawdzają według jej wydarzeń
i poeci są starsi ode mnie o jedną wojnę —
o jeden ból o jedną śmierć
— nawet dzieci jak mi się wydaje
Czy mógłbym w nią gałązką krwi się wpleść
i wąskimi jej gardłem polykać błyskawice
w zakrzepłym słowie znaleźć własny oddech
zostawiony na rozstajach wschodu i zachodu
nie ogniem wpisać swoje imię
w głuchą pamięć kory drzewa nad Wisłą
Czy mógłbym zrozumieć
że między jej słowami
milenie ogłusza twarz ziemi



ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Kazania

1.

Kolumb badacz nie z dziejów lecz z dość
długiej podróży, jest bytem jak dotąd
w Ameryce najważniejszym.
Przewiozł w ulu gniazdo czarnych mrówek.

2.

Kiedy już podniósł się z ziemi, gęsto
upierzona głowa pozostała w powietrzu.
Zrogowaciałe stopy nie odstępują ziemi
łączące płaka ze zwierzęciem niteczki żył
nadają jego tułowiu wygląd klatki
z siłowa

3.

Którakolwiek słowo przepadło nie mniejsze
posiada znaczenie jak słowo wybrane
Poezja jest bowiem jak lud w całości
W jakikolwiek sposób przychodzi będzie
tym samym — światem umiejscowionym
nie ponad poetę, ani przez poetę lecz
w nim samym
Głowa poety nie jest zatem pośrednim
organem poezji
jak głowa Boga nie podlega
w granicach przysługującej jej władzy
żadnej władzy wyższej.



TADEUSZ GICGIER

Poezja

Ty przychodzisz jak noc majowa
w tym twa zguba.
Błyszczą sztuczne księżycy
satelity ziemi
nie znają cię
nie wódz ich na pokuszenie,
zbaw od siebie
od złego.

Radar, komputery,
zdalne sterowanie
ty nie steruj z bliska,
tam chwila nieuwagi
ekran zakłócony
twa mgiełka
i mgła wieczna
w międzygwiazdnej mgie
świecący okruc — człowiek.

Lecz ty upadając
zwykłaś pociągać z sobą swoich sojuszników,
tych na ziemi

zmarłym też nie przepuszczasz
nad ziemią pod ziemią,
to właśnie twój błąd
w wyliczeniu
twa zguba
i twoje za grobem zwycięstwo.

SEZON JAKICH WIELE

(DOKOŃCZENIE)

W nieznanych dotąd wierszach
twórcy autentyzmu powraca
raz jeszcze znany motyw
„pogrzebia”, „wiatru od łuku”,
który był zawsze najżywszą
obsesją poety. Korespondują
z tym nurtem refleksji wiersze
krajobrazowe, okrucieństwa
wspomnień dzieciństwa prze-
pajane rustykalną metafizyką.
„Wybrałem i wybierałem.
Jego wybierałem, który nie u-
miał czytać i pisać. Na wsi
głębokiej, na prowincji najdal-
szej. Jego wybierałem na a-
matorską scenkę — sam nie-
doleżny reżyser — jego uczy-
łem jak grać Marcina Łukę, a
nawet Kirkora. Na wsi głębo-
kiej na prowincji najdal-
szej. Jego wybierając dokonywałem
własności wyboru samego sie-
bie w moim świecie.”

Trudno o bardziej jednozna-
czne wyznaczenie niż zacytowa-
ny tu fragment prozy poetyckiej
Czernika pt. „Egzystencja-
lizm”. W tym credo odczytać
można przecież zamyślenia
wobec bezpośrednio związanej z
ludem, poprzez które dochod-
ził poeta do obrzędowych
niemal związków z Ziemią i
Człowiekiem. Zdawać by się
mogło, że pokrewieństwo
ideowe z Czernikiem znajdzie-
my u innego piewcy prowinc-
ji, Jana Huszczy, który ogło-
sił w wydawnictwie „Pojęcie-
rze” retrospektywny wybór
wierszy pt. „Podróż senty-
mentalna”. Ale nie bardziej mylą-
cego. Czernik szuka w swojej
chłopskiej przeszłości archety-
pów poetyckich: dla Huszczy
prowincja jest swoistą Arka-
dą, ucieczką od cywilizacyj-
nego zgiełku, który rodzi stre-
sy i redukuje wrażliwość po-
zbawiając ją wygłosu wzru-
szeń najpierwszych.

„Cóż archetypy, desygna-
ty,
gdy wieczór czuły jak
przed laty”

powiada Huszcza prowokacyj-
nie w jeunym z wierszy. Ślad
w jego utworach znajdziemy
programowy, wybujały sen-
tymentalizm korygowany me-
todyczną ironią i powrotem do
młodości swiata, do którego
wszak zdaje sobie z ego Husz-
czy sprawę, nie ma rzeczywist-
nego powrotu. W tej tonacji po-
brzmiewają także spójnione
przez niego i właściwie inte-
gralnie do tomu utworów poe-
tów ukraińskich, od których
uczył się Huszcza lirycznej
rozważności i spójności, za-
uważając to strony jego dzie-
ciństwa.

Także Mieczysław Michał
Szargan, autor wydanego wła-
śnie przez Wydawnictwo Łódz-
kie tomu wierszy „Jabłonkowe
zebra” zdaje się być zasłu-
chany w głosy wsi, ale jego
zasłuchanie jest asymetryczne,
co manifestuje się prozajacką
języką i brutalizacją poety-
ckiego obrazu niosącego często
w sobie turpistyczne widze-
nie. Nie brak także w tych
wierszach manifestacji idea-
wch bliskich poszukiwaniom
poetów pokolenia „Współczes-
ności”, choć metrykalnie, z ra-
cji swego debiutu, przynależny
Szargan do „Pokolenia 1960”.
Najcieńszy i najbardziej
drapieżny okazuje się w u-
tworach o ambicjach publicy-
stycznych, zaangażowanych,
jak byśmy powiedzieli to jesz-
cze niedawno, gdy określenie
to było wygodnym wytrychem.
Ale mimo tej prozajackości
w wierszach Szargana nierzadko
dochodzi do głosu czysta li-
ryka świadcząca o dużych
możliwościach poety i potwier-
dzająca jego wrażliwość poe-
tycką.

Wiele pokrewieństw z tym
ostatnim nurtem poezji Szar-
gana wykazują wiersze Józefa
Henryka Wiśniewskiego, twór-
cy także tylko metrykalnie na-
leżącego do „Pokolenia 1960”.
Tom „Przypowieść” wydany
przez Wydaw. Łódzkie przy-
nosi obok utworów wykazu-
jących powinowactwo z tradycją
awangardy krakowskiej, (choć
jest to zapatrzenie korygowa-
ne nieustannie widzeniem gro-
teskowym, co nadaje mu in-
dywidualne piętno), wiersze
dotychczas poetyce Wiśniew-
skiego obec. Szuka on dla
swojej rozwichrzanej nieco
wyobraźni nowego ładu, no-
wych rygorów uciekając cza-
sem w filozoficzną przypo-
wieść, czasem odwołuje się do
klasycznych kanonów formal-
nych czego namacalnym przy-
kładem cykl białych sonetów.
Nie brak w tych próbach am-
bicyj intelektualnych, ale naj-
pewniej czuje się Wiśniewski
jak dawniej w lirycznym ży-
wiolu.

Ambicji intelektualnych nie
jest pozbawiona także poezja
Ziemowita Skibińskiego, który
zadebiutował przed laty arku-

szem poetyckim pt. „Książę”.
W nowym tomie pt. „Maski”,
(co sugerować ma chyba u-
mowność wszystkich konwen-
cji poetyckich) nie wraca już
do oszczędzeń swoich pierw-
szości zarzucając swe najwcześ-
niejsze poszukiwania ze sfery
języka. Widac w tych nowych
wierszach nową zupełnie fas-
cynację kulturą wschodu, egzoty-
ką świata muzułmańskiego
i egzotyką przedrewolucyjnej
Rosji, choć fraza większości
wierszy pobrzmiewa raczej
pogłosami Benna niż Puszk-
ina, któremu Skibiński poświę-
cił jeden ze swoich najpięk-
niejszych wierszy. Nie brak
tym wszystkim utworom indy-
widualnego wyrazu, choć nie
ulega wątpliwości, że poeta
nie znalazł jeszcze swego poe-
tyckiego światopoglądu przy-
mierzając po kolei różne mas-
ki włącznie z dantejską za-
węzoną tu do „piekła języ-
ków”.

Bardziej bezpieczną drogę
wybrał Jerzy Jarmolowski w
swoim najnowszym tomie
„Może ja kocham wszystko
co garbate”, wydanym także
w łódzkiej oficynie. Poeta ten
przeszedł znamieną ewolu-
cję: od różniczkowskiej proza-
izacji wiersza po ludowe imi-
tacje, rodem z Cepelii. W no-
wym swoim tomie dokonuje
rzeczy z pozoru niemożliwych:
uczynił stylizację głosem
własnym, nadając jej nową
jakosć. Wiersze jego zalecają
się teraz swoistą jurnością,
nabierają siły vitalnej. Ta
poezja, tkwiaca korzeniami w
sztuce prymitywizmu, nie po-
zbawiona jest przy tym pewnej
intelektualnej przewrotności, a
nawet dworności, choć Jarmo-
lowski wypowiada się najczę-
ściej rubasznie, jak choćby w
takim fragmencie:

„ziemi się wróć choć
tam mnie usiekl
— gdzie idziesz jarmol —
a w dupę na raki
trza mi się przebrać w
co dla niepoznaki”

Droga stylizacji wybrała
także Dorota Chrościelewska,
ogłaszając drugi już z kolei
swoją tom pt. „Portret Dzię-
winy z różą”. U Chrościelew-
skiej widac zwłaszcza ogrom-
ną kulturę słowa, loty wiersze
jej pełne są odwołań i a-
luzji literackich, jak choćby w
finezijnym poemacie „Bea-
tricz”. Nie brak jej wierszy
niepokojów wspólnych całemu
pokoleniu bez biografii, któ-
rego jest jednym z najciekaw-
szych przedstawicieli. Szcze-
gólnie wyraźnie widac to w
stosunku najmłodszych do
wojny, stanowiącej czesty mo-
tyw poezji Chrościelewskiej.
Rozległość zainteresowań Do-
roty Chrościelewskiej wskazu-
je na świadomy wybór drogi
poetyckiej, choć, jak się wy-
daje, dopiero następne książ-
ki ukaza nam pełniej jej
twórczy światopogląd.

Miniony sezon przyniósł tak-
że jeden debiut poetycki,
książkę Jacka Bierzina pt.
„Lekcja liryki”. Autor zalicza-
ny jest do tzw. kontestatorów,
a więc tego nurtu najmłodszej
poezji, który przynajmniej w
deklaracjach manifestuje swo-
ją nieufność wobec świata.
Wszakże debiut Bierzina u-
kazuje nam, jak często mani-
festy i deklaracje pozostają
tylko werbalnym zapewnie-
niem, jak teorie poetyckie
rozmiągają się z praktyką, z
realizacją. Wbrew kontesta-
torskim deklaracjom z jego wierszy
wyszera stary romantyzm
Juliusza Słowackiego, zapoży-
czony chyba nieświadomie
przez pilną lekturę Baczyń-
skiego. Neoromantyczna wra-
żliwość znalazła swój wyraz
nie tylko w najbardziej oso-
bistym cyklu pod nazwą
„Zbliżenia”, ale także w wiers-
zach programowo kontesta-
torskich, łącznie z deklaraty-
wną „Lekcją liryki”. Słuszniej
więc będzie uważać tomik
Bierzina raczej za powtórkę
z liryki, jak to zazwyczaj by-
wa u poetów po raz pierwszy
ogłaszających się światu. Jed-
nakże pomieszczona w tomie
proza poetycka, oszczędna w
słowie, odznaczająca się filo-
zoficznym dowcipem i celno-
ścią sformułowań, zdaje się
świadczyc, że w następnych
próbach poeta znajdzie własną
drogę i zdyktuje swoje do-
tychczasowe, chaotyczne aleo
poszukiwania.

KONRAD FREJDLICH

P.S. Z obowiązkowej kronika-
skiego dodaćmy jeszcze, że w
minionym sezonie poetyckim
ukazał się nakładem Spółdziel-
ni Wydawniczej „Czytelnik”
tom wierszy pisanego te slo-
wa, zatytułowany „Dorzecze”.